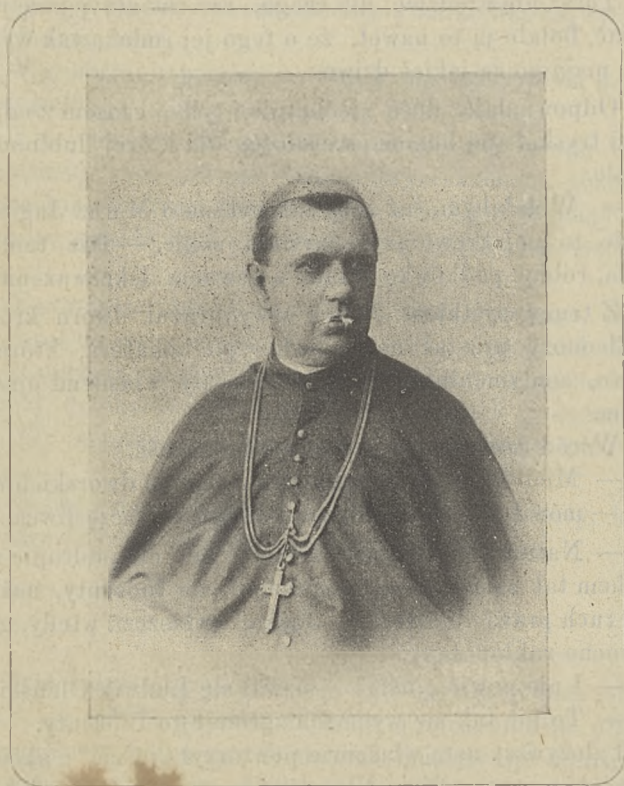




WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Jubileusz Biskupa Sandomierskiego.



J. E. Antoni Sotkiewicz Biskup Sandomierski.

także rezydencją biskupią, obchodzono uroczyste 50-letni jubileusz kapłaństwa, Jego Excelencyi Biskupa Sandomierskiego Antoniego Sotkiewicza.

Czcigodny pasterz pochodzi z okolic Sandomierza, urodził się bowiem we wsi Bordo w powiecie opatowskim w 1826 roku. W Sandomierzu otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1849 i tam też przez kilka lat był nauczycielem religii w szkole powiatowej i w pensjonacie żeńskim. Między 1876 a 1883 piastował godność administratora archidiecezji warszawskiej, a w roku 1883 został wyświęcony na Biskupa Sandomierskiego i odtąd przebywa w tem mieście,



Brama Opatowska w Sandomierzu.

XX Na lewym brzegu Wisły, przy samej granicy austriackiej leży starożytne miasto Sandomierz, główny gród malowniczego powiatu sandomierskiego, słynnego na cały kraj ze swej żyznej ziemi. Któż nie słyszał o pszenicy — sandomierce? mąka z niej jest tak wyborna, że podobno w Londynie piekarze ubiegają się o nią! Otóż przed dwoma tygodniami w gródzie tym, który jest

które pomimo licznych napadów ze strony Litwinów, Tatarów i Szwedów, którzy palili je i burzyli, zachował wiele starożytnych gmachów i pamiątek.

Do ciekawszych zabytków należą:

1) Ratusz, którego część niezwyklej grubości murów pochodzi z czasów Leszka Czarnego, a druga zbudowaną została przez Kazimierza Wielkiego. Można w nim oglądać jeszcze trzy miecze katowskie z XVI wieku, herb miasta, kilka popielnic i kości jakiegoś przedpotopowego zwierzęcia.

2) Kościół katedralny N. Maryi Panny, wzniesiony przez Krzywoustego w r. 1120, na miejscu pierwszej świątyni chrześcijańskiej św. Mikołaja.

3) Zamek grodowy, obecnie obrócony na więzienie.

4) Dom znakomitego dziejopisarza Jana Długosza, wzniesiony przez niego w 1476 r.

5) Brama Opatowska, jedna z czterech przy murze, opasującym miasto — i kilka jeszcze kościołów i budynków.

Z tego krótkiego opisu widzimy, że jest to jedno z najciekawszych miast w kraju, a choć niewielkie i niezbyt handlowe, zasługuje na zwiedzenie, tembardziej, że przedstawia się nader malowniczo, zwłaszcza od strony Wisły.

LEN.

Len w polu już zakwitł — o, pójdźmy dziateczki!
W kwitnienia zobaczyć go dobie.
Te cienkie lodyżki, te modre kwiateczki,
Jak gwiazdki rozsiane przy sobie.

Len ważna roślinka, len niewiast pieszczota,
O wdzięki zewnętrzne nie stoi.
Gdy rzepak, pszenica, jak fala lśnią złota,
On w skromną sukienkę się stroi.

Niewielkiem ziarenkiem do ziemi rzucony,
Kielkował swobodnie o wiosnie;
Wnet w prątków tysiące przystroił zagony,
Co sobie bujały radośnie.

Wybujal i zakwitł, choć nie raz go zmienne
Dni zimnem straszły i burzą.
Niebawem, gdy główki dojrzeją nasienne,
Len wyrwą i w wodzie zanurzą.

Zanurzą go ludzie, on jednak nie zginie,
Nie straci przez światła ubytek.
W odmiennej już barwie, jak woda zeń spływie,
Obfitszy przyniesie pożytek.

Hej! leci dzień za dniem, październik za pasem,
I wiatry jesienne już świszczą,
Ach, jakież to śpiewy tam słyhać pod lasem?
I jakież tam ognie tak błyszczą?

To zacna, pobożna raduje się dusza,
Wieśniacy do nowych prac spieszą,
To chłopcy nad ogniem przemokły len suszą;
Niewiasty go międlą i czeszą.

Gdy ziemia pod śniegu zadrzemie pościelą
A wody pokryje lód gładki,
Wnet prządki po izbach zasiadą z kądzielą,
Odezwą się piosnki i gadki.

W zawody wrzeczono zafurczy z piosenką,
Wraz płosząc daleko myśl smutną.
O! tylko już czekać, jak tkackie czółenko
Nić szarą zamieni na płótno.

Gdzież płótna nie trzeba?... od dworu, do chatki,
Wszak każdy jednak je ceni.
A z płótna starego, zdartego na szmatki,
Len znowu na papier się zmieni.

Więc pójdźmy podziwiać w kwitnieniu nadobnem,
Len dzisiaj tak bujny i hoży,
I chwałę nieść Temu, co w ziarnku tak drobnem,
Tak wielkich pożytków skarb mnoży.

F. Lejowa.

Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Teraz nie wiedzieć dla czego, nie chciało jej się rozmawiać, bołało ją to nawet, że o tego jej rodaka tak wypytują i mają go za jakieś dziwo.

Odpowiadała dość niechętnie i tylko czasem z odpowiedzi tryskał jej humor i wesołość, dla której lubiono ją w ogóle.

— Wołałabym już żeby tak pytano o Marka Jagierę, przecie to mój krewniak — myślała sobie. — Ale ten! — dodała, robiąc podkówkę ustami z pewnem lekceważeniem.

Z tem wszystkim Jasiak w wyobraźni dworu królowej Eleonory urastał na legendowego bohatera, którego o dziwo, sentymentalne Niemkinie miały własnymi ujrzeć oczyma.

Wśród towarzyszków zaś zawrzała zawiść.

— Mieli też kogo do zabawienia panien dworskich wybrać! — mówił niejeden, patrząc z ukosa na szczęśliwca.

— Naturalnie, przecie żaden z nas nie podrapie się za uchem tak zamasyście — rozśmiał się Inocenty, naśladując ruch prawie bezwiedny Jaśka, zwłaszcza wtedy, gdy był mocno zakłopotany.

— I nie powie „juści” — ozwał się Ludwik Oleński.

— To nie tak się wymawia zgromił go Inocenty.

I złożony usta właściwie powtórzył „juścić” z akcentem, z jakim rzeczywiście Niewdzyd wyraz ten wymawiał.

— „Juści” „juści” — poczęli wszyscy powtarzać, nie wyłączając Marka, który chociaż niemniej był życzliwym Niewdzydowi, lubił się jednak pośmiać z przyjaciele; można przecie czasem pożartować.

I przez chwilę słyhać było tylko powtarzanie na wszelkie tony „juści,” co przeszło w jakiś chór syczący, przerywany od czasu do czasu śmiechem wesołych dworzan.

W tem wszedł Niewdzyd, a czy nie słytał, czy też nauczył się już nie słytać, gdy mu było potrzeba, dość, że ze zwykłą swobodą, przywitał się z towarzyszami.

— Szczęśliwy!

— Szczęśliwy!

— Winszujemy sukcesów! — wołano.

— Ot, raz mu się udało i ma już gotową drogę do promocyi! — rzekł Inocenty.

— O czem chcecie mówić? — zapytał Jasiak, patrząc na nich obojętnym i wcale nie uszczęśliwionym wzrokiem.

— Nie udawaj, bracie, — ozwał się Marek — wszak takie popisy na zabawie i łaska królowej otworzą ci łatwo wstęp do jakiegoś urzędu, a Bóg da i bogactwa.

Niewdźyd spojrział na nich smutnym wzrokiem i rzekł:

— Czy wy myślicie, że mi to honor czyni, iż chcę za mnie uczynić nadwornego komedyanta, błazna, jakich sobie królowie ku swej ucieście trzymają?

— Jam szlachcic i jako taki pragnę służyć krajowi z bronią w ręku, dobijając się godziwie znaczenia — dodał z prawdą i szczerością w głosie!

— Ii! jemu zawsze jeno wojna i wojna! — zawołał Ludwik Oleński.

A inni machnęli tylko ręką.

— Wojna; i wam toż samo powinno być na sercu — rzekł Jasiak, patrząc na towarzyszy.

Żaden z nas nie jest kaleką ni zdechlakiem, żeby za piecem siedział, a też grzech marnować zdrowie i siły na jakieś tam popisy, za które dadzą ci wstęgę, lub kwiatek — mówił przeciągając z pewną niechęcią na środkowej sylabie i rozkładając ręce.

Wy może nie wiecie, że Turek gospodaruje na granicy! — dodał.

I to rzekłszy, Niewdźyd oparł się o framugę okna i założywszy ręce jakimś rozpaczliwym ruchem, pozostał w milczeniu, patrząc rozognionym wzrokiem w jakąś dal widzianą, a może tylko przeczuwaną oczyma jego gorącej duszy.

Towarzysze umilkli, sami nie wiedząc dla czego. Niejeden brał do serca wyrazy Jaska i coraz więcej nad nimi się zastanawiał, inny wychowany w próżniactwie, może i nie rozumiał doniosłości tych wielkich pragnień i dążeń, jakie tliły w prostaczęj lecz pełnej zapалу duszy młodego mazura.

Każdy jednak rozumiał, że to nie pora na żarty, które towarzyszy ich takimi gorącymi wyrazy odpiera.

X.

Tymczasem pogoda, która trwała stale do końca maja popsuła się tak, że wszelkie zamysły o upragnionym przez królowę i damy festynie na Bielanach musiały być odłożone do przyjaźniejszej pory. Gniewało to małżonkę królewską. Czasami nawet płakała, żaląc się przed poufną sobie Olimpią von Halslangershoff.

— Złe losy zagnały mnie do tego szkaradnego kraju!

Zacna ochmistrzyni przybierała minę współczującą głosem pocieszającym odpowiadała:

— Najjaśniejsza pani pełna poświęcenia i pobożności złe losy potrafi przetrwać, i zawsze jaśnieć nam będzie swoją dobrocią i urodą.

Królowa spoglądała wtedy w zwierciadło i przypatrując się swej przywidłej twarzy, mówiła:

— Wśród łez i przeciwności uroda zmienia się szyb-

ko! lecz niech i to idzie na chwałę Boga i wznosi potęgę jego cesarskiej mości mego brata, boć taka była jego wola.

Wzdychała przytem, kiwając głową, a ochmistrzyni dla odwrócenia smutnych myśli, opowiadała jej zwykle wypadki dnia, znosząc plotki i ploteczki, które miała zawsze w zanadrzu dla rozweselenia swej pani. Stąd królowa nie wdająca się zgoła w żadną politykę, doskonale wiedziała co się dzieje wśród dwórek i dworzaków a nawet, wśród znaczniejszych mieszczan, z którymi zacna Olimpia von Halslangershoff doskonale się zaznajomiła.

I panny dworskie biadały nad brakiem pogody, witaając każde ukazanie się słońca z radością i odbłyskiem nadziei. Pogoda jednak była tak zmienną jak humor rozkapryszonej dworskiej damy. Jeżeli rano ukazywała się uśmiechnięta i pełna złotych blasków słońca, z pewnością po południu zachmurzyła lica a wieczorem lunęła potokiem deszczu. Tak zeszedł czerwiec i większa połowa lipca. Oczekiwany festyn nie przychodził i nie przychodził do skutku a z nim ukazanie się legendowego bohatera, który według zapewnień ochmistrzyni, podczas każdej uroczystości lub walki, wyrasta w olbrzyma i nabiera wszystkich cech wielkoluda.

Niewdźyd tylko był uszczęśliwiony z tej odwołki. Popisy w ogóle nie licowały z jego usposobieniem. Pragnął walki, lecz walki w zapasach z nieprzyjacielem wśród chręstu zbroi i świstu kul, o czem nasłuchiwał się w dzieciństwie, naczytał w książkach, udzielanych przez księdza Bogatkę, a co w bujnej jego wyobraźni rozrosło się i spotężniało. Prócz tego pozwolono mu teraz codziennie wprawiać się w robienie broni; poza godziną więc oznaczoną przez króla, przebywał całe dni w sali fechtunkowej.

U króla stawiał się teraz codziennie o godzinie dziewiątej rano, lecz Michał zatopiony w głębokim rozmyślaniu i z natury małomówny, nie potrzebował nikogo. Zbyt był leniwy, a żeby poza koniecznymi sprawami, zajmował się czemś więcej, młodzieniec więc przeznaczony do osobistych rozkazów króla, nie miał jak dawniej co robić.

Gdy Niewdźyd poraz pierwszy przyszedł, król zapytał go:

— Zadowolony jesteś z pobytu na dworze?

Młodzieniec miał wielką ochotę powiedzieć, że sposób życia, jaki prowadzi, wcale mu się nie podoba. Życie dworskie jednak nauczyło go, że nie zawsze można mówić co się myśli; stłumił więc ten wybuch, chcąc w zręcznych wyrazach wypowiedzieć swe niezadowolenie i poprzestał na głębokim ukłonie.

— Dobrze, dobrze, i ja zadowolony z ciebie jestem — rzekł król, sądząc, że ukłon był wyrazem uszczęśliwienia, jakiego młodzieniec doznawał.

— Umiesz czytać po włosku? — spytał nagle król.

— Nie umiem! miłościwy monarcho! — rzekł, kładąc na licu Jasiak.

— Hm, hm, a po łacinie?

— Potrafię nieco — odparł, kłaniając się Niewdźydu.

— Będiesz mi czytywał zaraz po obiedzie.

Młodzieniec znów się ukłonił.

Król skinął ręką, a Niewdźyd skłoniwszy się, wyszedł. Zaraz w komnacie przyległej spotkał się z podkancelarzem. Ten zmierzył go z pewnem zdziwieniem.

— Ktoś waś? — zapytał surowym głosem.

Nie podobało mu się bowiem, że jakiś młokos bez jego wiedzy i pozwolenia wychodzi z komnaty królewskiej o tak rannej porze.

— Jan Niewdźyd, dworzanin do osobistych rozkazów jego królewskiej mości.

Andrzej Olszowski spojrział bystro na niego i zdawał się przypominać coś sobie.

Spostrzegł to Niewdźyd i przyszedł mu w pomoc i dodał z ukłonem:

— Dworzanin królewski z łaski jego excelencyi, od pierwszego dnia wstąpienia na tron miłościwego monarchy.

Dygnitarz przypomniał sobie nagle owego niezgrabnego i gburowatego mazura i zaraz drogą właściwego kojarzenia pojęć przyszło mu na myśl, że król Michał ożywił się jedyny raz może na widok owego chłopaka.

Spojrzął więc bystro na Jaśka.

— Ocknął się, niema co mówić, pewnie ulubieniec — pomyślał sobie.

I patrząc bystro, zapytał:

— Codzień chodzisz do jego królewskiej mości?

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Rougemont, jako wódz dzikich.

— Pierwszy raz od czasu, jak jestem na dworze.

Olszowski spojrział znów i poznał, że chłopak mówił prawdę.

— Masz jakie szczególne polecenie? — zapytał, patrząc nań badawczo.

— Zaraz po obiedzie mam czytać królowi jegomości...

— Nic więcej?

— Nie otrzymałem innego rozkazu.

— Jutro powiesz mi, coś czytałeś... i jak się król podczas czytania zachował — dodał, baczny na wszystko podkanclerzy.

Niewdźyd nic na to nie odpowiedział, skłonił się tylko i rzekł nieśmiało:

— Mam prośbę do jego excelencyi.

— Mów, tylko prędko!

— Pragnąłbym otrzymać papiery, które w dzień mego przybycia jego excelencya raczył odemnie odebrać.

Olszowski zmarszczył brwi i znów zdawał sobie coś przypominać.

— Papiery moje rolowe w szmatkę zawinięte... szmatka była krwią splamiona... — dopomagał pamięci dygnitarza dworzanin.

— Aha, ten brudny zwitek... pamiętam! I kanclerz uśmiechnął się z lekceważeniem.

— Jego excelencya każe mi je oddać... — począł znów Niewdźyd.

— Każe je rozpatrzyć; ach jaka ta szlachta natrętna — dodał. — Myślicie, że oprócz waszych spraw niema już innych na świecie! — rzucił odchodząc.

— Czego ta mumia chce od tego szlachetki? przecież na jakąś samodzielność nie mógł się zdobyć... — myślał sobie wszechwładny dygnitarz, rządzący królem i koroną.

— Szlachta natrętna! — powtórzył sobie przez zaciśnięte zęby Niewdźyd. — Trzeci rok trzyma papiery i nazywa to natręctwem!

— Ach, jeżeli tak i sprawy kraju idą powoli, biadaż, o biada nam wszystkim stokrotnie! — myślał sobie dalej, idąc ze zwieszoną głową. — Ach, gdyby nie te papiery, uciekłbym, uciekł, to życie mnie dławi!

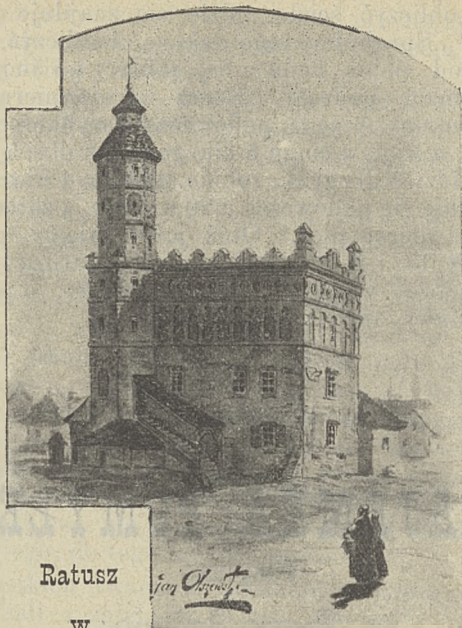
— A obowiązek? Przyjęto cię biednym i nieokrzesanym, dziś z łaski dworu przejrzałeś nicco, nauczyłeś się niemało... — szepnął mu głos jakiś.

— Alem zgnuśniał i nieraz mówię inaczej, niż myślę! — stawał do walki z owym tajemniczym głosem, buntujący się chłopak.

— O matko, matko ukochana, módl się ty za mną, wskaż prawą drogę! — westchnął młodzieniec, po krótkiej walce sam z sobą.

Po południu smutny lecz nadrabiający miłą, poszedł o oznaczonej godzinie do pokoju monarchy.

(d. c. n.)



Ratusz

w

Sandomierzu.

Sawel Trzeciński.

POGADANKI Z ASTRONOMII.

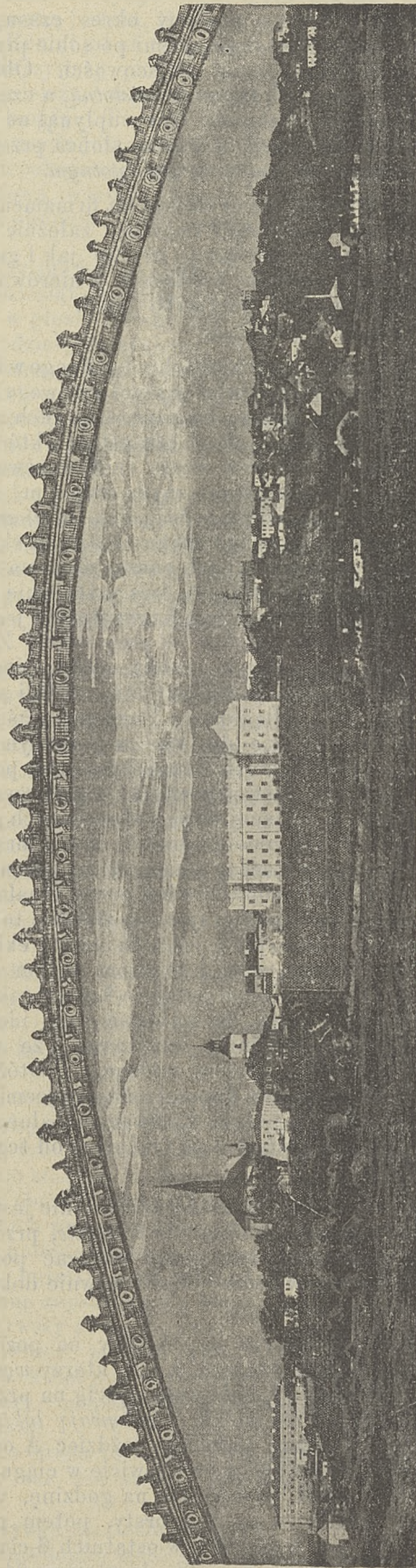
III.

O mierzeniu czasu i kalendarzu.

Xrowy ruch ziemi dokoła osi odbywa się zupełnie jednostajnie i z niezmierną szybkością. Najściślejsze badania astronomiczne przekonały, że czas trwania jednego obrotu, czyli tak zwana *doła*, od epoki Hyparcha, najstarszego z znanych astronomów, aż do dni naszych nie uległ zmianie nawet o jedną setną część sekundy. Wobec takiej niezmienności — *doła* oddawna już była uważaną za podstawową jednostkę obliczania czasu. Pomimo to jednak dokładne określenie tego czasu, nie jest wcale rzeczą tak łatwą, jakby się to na razie wydawać mogło.

Otóż *doła gwiazdowa* (jedynie niezmienną i stałą) znamy w astronomii okres czasu, jaki upływa pomiędzy dwoma następującymi po sobie przejściami przez południk danej miejscowości — pewnej dowolnie obranej gwiazdy stałej (ale nie słońca, planety lub księżyca). Zwykle za początek takiej doby uważamy chwilę przejścia przez południk punktu wiosennego porównania, który, jak to już wiemy z poprzednich pogadarek, leży obecnie w gwiazdozbiornie *Ryba*. W chwili tej liczymy w danej miejscowości *0 godzin 0 minut 0 sekund czasu gwiazdowego*. *Doba* taka dzieli się na 24 równe części, zwane godzinami. Godzina posiada 60 minut, minuta zaś 60 sekund. Jakkolwiek punkt wiosennego porównania niczem nie jest oznaczony na firmamencie, pomimo to jednak chwilę jego przejścia przez południk możemy zawsze obliczyć zupełnie dokładnie na podstawie istniejących tablic astronomicznych. Godziny doby gwiazdowej liczą się od 0 do 24.

Opisany wyżej sposób obliczania czasu, chociaż zupełnie ścisły i prawidłowy, napotyka jednak w życiu codziennym na znaczne trudności, a to z tego przedewszystkiem względu, że sam początek gwiazdowej doby ulega znacznym zmia-



Sandomierz.

nomi, zależnie od pory roku i przypada raz w dzień, to znowu w nocy, co w zastosowaniu praktycznym byłoby rzeczą niezmiernie uciążliwą. Musimy więc szukać innego, łatwiejszego sposobu i znajdujemy też go istotnie w pozornym dziennym ruchu słońca na firmamencie.

A więc *dobą słoneczną* zwiemy okres czasu, który upływa pomiędzy dwoma następującymi po sobie przejściami słońca przez południk danej miejscowości. Obliczona w ten sposób: doba zowie się także *dobą istotną*, a czas, czyli też ilość godzin, minut i sekund, który upłynął od jej początku, to jest od chwili przejścia środka słońca przez południk do danej chwili, nazywamy *czasem istotnym*.

Otóż gdyby pozorny ruch słońca na firmamencie był ruchem jednostajnym i nie ulegał zmianom, zależnie od pory roku, w takim razie doba słoneczna, równie jak i gwiazdowa, mogłaby stanowić zupełnie dokładną, a nierównie praktyczniejszą od tej ostatniej, jednostkę czasu.

Niestety, jednak tak nie jest.

Wiemy już, że słońce oprócz ruchu dziennego w kierunku od wschodu ku zachodowi, zależnego od wirowego obrotu ziemi dokoła osi, posiada jeszcze drugi pozorny ruch, zależny od postępowego ruchu ziemi. Ruch ten ostatni, który kombinuje się z pierwszym, nie jest wcale ruchem równomiernym, lecz przeciwnie ulega ustawicznym zmianom, a skutkiem tego i *doba słoneczna nie może być jednostką niezmienną*. Przyczyna zmienności pozornego ruchu słońca na ekliptyce polega, jak wiemy, na tem, że ruch naszej ziemi na orbicie nie jest także ruchem jednostajnym, lecz przeciwnie środek ziemskiego globu w okresie jednej bezwzględnej jednostki czasu, zakreśla różne łuki, zależnie od pory roku. Znajdując się, na przykład, w grudniu w pobliżu słońca, ziemia zakreśla w ciągu doby znacznie większy łuk, aniżeli w lipcu, będąc na większej odeń odległości. Ponieważ zaś istotny ruch ziemi odzwierciedla się dla nas w pozornym ruchu słońca, przeto w grudniu ruch ten odbywa się pozornie szybciej, aniżeli w lipcu; następstwem zaś tego wszystkiego musi być zmienność słonecznej doby i słonecznych godzin. Ażeby więc uniknąć tej niedogodności, którą musiałoby wywołać obliczanie czasu według zmiennej doby słonecznej, astronomowie wyobrazili sobie pewien punkt idealny, tak zwane *średnie słońce*, przypuszczając, że idealne to słońce dokonywa obieg w płaszczyźnie *równika* (a nie ekliptyki) ruchem zupełnie *równomiernym* i przytem w tym samym okresie czasu, w którym słońce istotnie kończy także swą drogę na ekliptyce, a więc, że szybkość tego idealnego słońca jest szybkością średnią, otrzymaną, ze wszystkich zmiennych szybkości słońca istotnego. Otóż okres czasu, który upływa pomiędzy dwoma następującymi po sobie przejściami przez nasz południk, owego idealnego, średniego słońca, zwiemy *średnią dobą* i zależnie od tego obliczamy *czas średni*.

Nadmienić tu należy, iż *słońce średnie* nie jest wcale pewnym punktem firmamentu obranym *dowolnie*, przeciwnie bowiem, ścisły rachunek pozwala nam wskazać położenie tego punktu na niebie w każdej chwili i również dokładnie, jak i położenie słońca istotnego.

Ażeby zrozumieć dobrze ten dziwny na pozór fakt, wyobraźmy sobie dwóch jeźdźców A i B, którzy *wyruszywszy jednocześnie z Warszawy*, odbywają wyścig na przestrzeni 96 wiorst i po upływie 24 godzin *przybývają także jednocześnie do mety*. Przytem jednakże jeździec A odbywał drogę z szybkością zmienną, a mianowicie w ciągu pierwszych 6-ciu godzin robił po 5 wiorst na godzinę, w ciągu następnych 6-ciu godzin — po 3 wiorsty, potem przez 6 godzin robił znowu po 5 wiorst i w ostatnich 6-ciu godzinach po 3 wiorsty. Rzecz oczywista, że w ciągu 24 godzin jeździec nasz przebiegnie w ten sposób 96 wiorst ($30 + 18 + 30 + 18 = 96$). Drugi jeździec B odbywa całą drogę ruchem jednostajnym, robiąc po 4 wiorsty na godzinę, a więc w ciągu 24 godzin robi on także wiorst 96, czyli, że obaj staną u mety jednocześnie.

Otóż w interesującej nas kwestyi zachodzi pytanie takie: czy znając w danej chwili położenie jeźdźca A, możemy lub nie obliczyć ściśle, gdzie się znajduje podówczas jeździec B? Spróbujmy tego dokonać i obliczyć, na jakiej odległości od siebie będą obaj jeźdźcy po 5-ciu przynajmniej godzinach podróży. Rzecz to niezmiernie łatwa. Jeździec pierwszy A pędzi podówczas z szybkością 5 wiorst na godzinę, a więc w ciągu 5-ciu godzin zrobi $5 \times 5 = 25$ wiorst. Jeździec drugi B, robiąc stale po 4 wiorsty na godzinę, znajduje się podówczas u 20 wiorst, a zatem B pozostał za A o wiorst pięć. Otóż jeżeli wiemy, gdzie jest podówczas A, to i B odszukać możemy bardzo łatwo i nie widząc go nawet wskazać jego stanowisko, o pięć wiorst bliżej Warszawy, aniżeli stanowisko A.

(d. c. n.)

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

To mówiąc podał Cesi rękę, poczem ona podziękowawszy ciotce za obiad, oddaliła się do siebie i rzuciła w fotel stojący przy oknie; dałaby była wiele za to, gdyby jej pozwolono pozostać tu cały wieczór. Znowu myśli jej pobiegły do Wątówki i Lisic, pytała siebie, co porabiają teraz Renia i babka Domicela. Tymczasem mrok począł zapadać, w sercu dziewczynki zbudziła się tęsknota za Wątówką, coraz większy smutek ją ogarniał; czuła, że do oczu jej łzy nabiegają, że płacz poczyna ścisnąć ją za gardło, w tem drzwi się otworzyły, weszła służąca.

— Pani prosi panienkę do salonu — rzekła.

Cesia westchnęła, podniosła się z wolna i poszła; salon pełen był osób nieznanych jej zupełnie. Pani Kantowa przedstawiła ją najprzód starszym, powtarzając niemal każdemu:

— To nasza kochana Cesia Freyden.

Panie nie żałowały pocałunków dla sieroty, panowie słów serdecznych. Gdy obeszli wszystkich wujów i wszystkie ciotki, wówczas poprowadziła pani Kantowa Cesię do panien przedstawiła ją wszystkim razem i rzekła: — Siadź z niemi i graj rolę domowej panny — następnie szepnęła mężowi, aby młodzieź przedstawił siostrzenicy.

Pan Kant spełnił to zadanie z wielką galanterią.

Wszystkie panny były zachwycone Cesią i z nietajonym zachwytem przypatrywały się jej.

— Sliczna, jak obrazek.

— Wspaniała jak księżniczka — szeptały jedna do drugiej i starały się zawrzeć z nią rozmowę, pytając jak podoba się jej miasto, czy nie tęskno jej za wsią.

Cesia odpowiadała krótko, rozmowa urywała się ustawnie, ona jej nie podtrzymywała. Widok tyłu obcych onieśmielił ją, nikogo tutaj nie znała, nawet oboje państwo Kantowie jakoś obco przedstawiali się jej dzisiaj. On w czarnym z cienkiego sukna tużurku, w białej kamizelce, tak jakoś inaczej wyglądał, iż pytała siebie chwilami: „Czy to wuj Kant?” Ciotka zrzuciła także codzienną swą szarą sukienkę i wystąpiła w jedwabnej, koloru morderowego, a strój ten również tak ją odmienił, iż Cesia przypatrywała się jej z wielkiem zdziwieniem. Odurzona tem wszystkim, nie umiała zawiązać rozmowy, milczenie jej, krótkie odpowiedzi, otaczające ją panny wytłomaczyły sobie niekorzystnie. Przychylne zdania ucichły.

— Dumna jest, nudna, sztywna — szeptano teraz i powoli odsuwano się od niej.

Młodzież potwierdzała sąd panien, przypatrywano się jej ciekawie, ale zdaleka, ona wszakże była temu rada, nie miała ochoty dziś do rozmowy.

W tem rozległy się dźwięki fortepianu, Cesia ucieczyła się; teraz już zmuszona była milczeć, mogła spokojnie obserwować całe towarzystwo, nie lękając się, iż zasłuży na zarzut, że jest niegościnną.

Cała ta daleka rodzina jej ojca nie zrobiła na niej przyjemnego wrażenia, porównywała panie z matką swoją, której wspomnienie tkwiło żywo w jej pamięci, panów z wujem Wątowskim i Szarskim, panny z Renią i mówiła sobie:

— Jakoś tu wszyscy są trochę inni. — Lecz muzyka, którą bardzo lubiła pochłoneła powoli całą jej duszę. Przed fortepianem siedziała jedna z panien nie ładna i niedystygowana, ale za to jak grała! Po pierwszym kawałku rozległy się tony marsza pogrzebowego Szopena; niepozorna kuzynka grała go biegle, z wielkim uczuciem. Wtem zbliżył się do fortepianu, jeden z młodych ludzi, którego nazwisko Cesia nie zapamiętała i począł deklamować wiersz Ujejskiego, do tego marsza napisany.

Na wszystkich twarzach odmalowało się wzruszenie, wszyscy słuchali z zajęciem. Cesia powiodła wzrokiem za nią, że to całe otoczenie, odczuwające jak ona tę sztukę rodzimą, jest jej teraz mniej obce. Dusza poety muzyka zbliżyły ją do nich.

Po skończeniu przysunęła się do panien i zaczęła mówić o ulubionych poetach, ona najbardziej ceniła Krasińskiego, podniosły się zdania przeciwne: ta unosiła się nad Słowackim, większość nad Mickiewiczem; zawiązała się rozmowa ożywiona. Podeszła młodzież i niektórzy zaczęli deklamować piękniejsze wyjątki; z serca Cesi uleciała tęsknota, smutne jej oczy poweselały. W tem zbliżyła się do niej pani Kantowa.

— Poprowadź panienki do stołowego pokoju — rzekła.

W salonie powstał ruch, panowie ręce podali paniom przeszli do sali jadalnej. Stół był przystrojony wspaniale swiatłami, piramidami ciast, cukrów i owoców, Cesia onieśmiała ze zdziwienia. Przypomniły jej się słowa panny Domiceli: „Dlatego wybrałam dom ciotki Kantowej dla niej, że tam nauczy się oszczędności.” Tymczasem ten stół przypominał raczej ucztę Lukullusa; czego bo na nim nie było? Najrozmaitsze przysmaki i nowalce, drogie ryby, pasztesy, owoce i wina. Goście usiedli i lokaje zaczęli przynosić półmiski. Spłoszone uroczyście muzyką żarty, potrawy; jedni usiłowali być dowcipni, drudzy śmieli się śmiać, wznoszono toasty i rozmawiano gwarnie. Tylko Cesia była milcząca, znowu czuła się obcą, znowu nieśmiała się nią owładnęła.

A młodzież zdziwiona zmianą, jaka w niej zaszła, szeptano znowu:

— Dumna, sztywna i nudna.

Panny jej bronily.

— Musiało jej coś przypomnieć świeżą żałobę — mówiły — dla tego znowu posmutniała.

Wreszcie goście się rozeszli; pani Kantowa miała ochotę pogawędzić z siostrzenicą, dowiedzieć się, jakie wrażenie wyniosła z jej rautu, lecz dziewczynka czuła się tak nieuczynną, iż udała, że tego nie widzi i oddaliła się do siebie.

Rzuciwszy się na kanapkę siedziała Cesia długich chwil z rękoma splecionymi, smutnie zamyślona, naraz chwyciła się z kanapki, siadła przed biurkiem i dobywszy z szufladki ćwiartkę welinowego papieru, zaczęła pisać do siostry:

„Tęskno mi za tobą, złota moja, jedyna, tęskno za wujem, za Wątówką, za swoimi... Cierpię, jak owa roślinka przeniesiona z pod jasnego południowego nieba w szadź chłodne strony północne. Świat, który mnie tutaj otacza, to nie mój świat; gdybyś ich widziała, Reniu, nie dziwiłbyś się smutkowi, co mną tak zawładnął, że zwątpiłam, czy

tutaj wytrzymam. Zaklinam cię jednak nie wspominać o tym liście nikomu, muszę wytrwać rok tutaj. Gdy się nieco oswoję z mojem nowem otoczeniem, gdy rozpocznę moją pracę, wówczas do babuni napiszę, tymczasem całuję cię stokrotnie. Gdybyś tutaj była zjawiała się na chwilę wczoraj, pewną jestem, iż wszyscy zawołaliby: „królowa.” O Reniu! Reniu! jakas ty do nich niepodobna!

Wynurzywszy piórem, co jej tłoczyło duszę, uczuła się spokojniejszą, więc położyła się spać, długo jednak usnąć nie mogła. To też nazajutrz dziesiątą już wskazywał zegar, a ona jeszcze spała.

Zaniepokojona ciszą, panującą w pokoju siostrzenicy, pani Kantowa weszła do niej i nad śpiącą się pochyliła. Wzrok jej obudził Cesię; zerwała się zawstydzona i siadła na łóżku.

— Czy już bardzo późno? — spytała.

— Dziesiąta — odparła pani Kantowa z odzieniem wymówki w głosie — wuj już od godziny w kantorze, my tylko w niedzielę świętujemy.

— Jutro o wpół do ósmej będę już gotową — odparła Cesia — przepraszam ciocię za niedotrzymanie słowa. To mówiąc, pocałowała panią Kantową w rękę.

— Ubiorę się prędko, potem ciocia mi powie, co mam robić — dodała.

— Jak się ubierzesz, przyjdiesz do stołowego pokoju na śniadanie — odparła pani Kantowa.

Cesia żałowała szczerze, iż zasnęła, gdyż chciała koniecznie wieść teraz czynne życie; nie stroiła się też długo i w pół godziny potem już kończyła śniadanie.

— Czy pójdziemy dzisiaj do muzeum? — zapytała ciotkę.

— Jakób wszystko sam załatwi, obiecał mi, że po obiedzie przyjdzie zdać sprawę z tego, co zrobił. Jeśli nie masz zajęcia, pomóż mi pakować srebro, szkło i porcelanę.

— Z ochotą — odparła Cesia.

Pani Kantowa poprowadziła ją do tak zwanej garderoby łączącej się z jadalnią, gdzie ujrzała dziewczynka na stole używane wczoraj przy wieczerzy szklanki, kieliszki, noże i widelce.

— Trzeba to wszystko pomyć i pochować — rzekła pani Kantowa.

— Czemu służba tego nie robi u cioci? — spytała Cesia.

— Służba nie dba najczęściej o dobro państwa: częściej tłucze, a czasem i kradnie — rzekła pani Kantowa — zawieleby przyjęcia niedzielne kosztowały nas, gdybym nie dbała tak o kosztowną zastawę i o to, co zostało z przyjęcia.

To powiedziawszy, zawołała służącą i kazała przynieść wamienkę z ciepłą wodą, oraz czyste ściereczki.

— Myj tymczasem szkło, ja wino pochowam — rzekła.

Na stole stało kilka butelek rozpoczętych, zakorkowała je mocno, poczem korki lukiem oblała.

— Takich przyjęć każdej niedzieli nie bywa — mówiła, to było nadzwyczajne z powodu twego przyjazdu. To wino drogie, butelka po 6 rubli, trzeba je schować, a nie zapieczętowane zepsułyby się łatwo.

Skończywszy swoją czynność, kazała wynieść służącej butelki do piwnicy, poczem zajęła się paszтетem sztraburskim, którego kilka puszek zostało, zamknęła je szczelnie, następnie sery owijała kawałkiem płótna, zmaczanego w wodzie słonej.

— Po co ciocia to robi? — zapytała Cesia.

— Aby ser nie stracił świeżości — odparła pani Kantowa.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— Czy nie lepiej zjeść go, zanim uschnie? — zapytała.

— To za kosztowny ser, aby go jadać codziennie — odparła pani Kantowa.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Robert Bunsen. — Dowcip króla Hiszpańskiego. — Koń w kapeluszu. — Zmysłny słoń.

Dnia 17 sierpnia r. b. umarł b. profesor uniwersytetu Hejdelberskiego, Robert Bunsen, urodzony w Getyndze w r. 1811. Wspomnieć musimy o jego zgonie, gdyż był to jeden z największych uczonych kończącego się wieku i każdy, ucząc się chemii i fizyki, musi spotkać się z jego nazwiskiem.

Głównem jego dziełem była tak zwana analiza spektralna, która umożliwiła poznanie składu chemicznego ciał niebieskich za pomocą badania promieni świetlnych.

Odkrył też dwa nowe pierwiastki chemiczne: rubid i cez, i wynalazł wiele niezmiernie ważnych przyrządów, z których najbardziej znanym jest palnik gazowy jego imienia, dający niezmiernie wysoką temperaturę. Jako człowiek odznaczał się szlachetnością, prawością i sprawiedliwością i był jednakowo kochany i ceniony przez wszystkich swych uczniów bez różnicy narodowości.

Młody król Hiszpański, Alfons XIII odznacza się darem obserwacyjnym i dowcipem. Gdy razu pewnego profesor języka francuskiego podyktował swoim królewskim uczniom zdanie: „Posiadała ona w wysokim stopniu wdzięk wymowy i wytworne manieri, wrodzone księżniczce królewskiej,” Alfons XIII odłożył pióro i odezwał się tonem silnego przekonania: Panie profesorze, człowiek, który to napisał, z pewnością nigdy nie żył na dworze królewskim. Zdziwiony profesor zapytał: Dlaczego jego królewska mość tak sądzi? — Spójrz-no pan — zawołał żywo król — przyjrzyjże się tylko tym księżniczkom! Jakie to wytworne manieri! — i wskazał na swe siostrzyczki. Jakoż Marya de Mercedes rozparła się na stole i stroiła okropne grymasy, będąc niewyspaną i znużoną. Marya Teresa siedziała na krześle jak wielka dama, ale obsadką pocierała czoło, widocznie francuska ortografia przyprawiła ją o ból głowy. Alfons XIII-ty trącił starszą siostrę, a targnął za warkocz drugą. „Ty brzydal!” zawołały obiedwie równocześnie. — Och, co za wdzięk wymowy! — sztydził skarcony król i mrugał na profesora. Scena zakończyła się ogólnym śmiechem, któremu wtórował i poważny profesor.

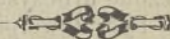
Podczas tegorocznych upałów, których u nas nie było wcale, na bulwarach paryskich i w Londynie podziw wywoływały konie w kapeluszach. Kapelusze te, mające formę koszyków, plecionych grubo ze słomy, z otworami na uszy i czasami z wstążkami czerwone, doskonale chroniły uliczne rumaki od palących promieni słońca.

Kapelusze dla koni nie są nowością w gorących zakątkach Włoch, gdzie, jak wiadomo, stroju, parady konie i muły. Środek ten ochronny od upałów, staje się zresztą rzeczą konieczną, gdyż konie, wystawione przez długi czas na działanie skwarnych promieni, ulegają również porażeniom i różnym chorobom, jak i ludzie. W zastosowaniu zatem kapelusza dla konia łączy się zarówno uczucie ludzkości, jak interes właścicieli koni.

W Paryżu i Londynie kapelusze, o których mowa, pojawiły się świeżo i, jak powiadamy, wywołały z początku śmiech ogólny. Jednakże dzienniki, omawiając życzliwie ten strój, zachęcają do jaknajszerszego jego zastosowania. Dotąd mianowicie w uroczystym stroju ukazywały się przeważnie konie eleganckich powozów, a w Londynie lekkich dorożek.

W tych razach kapelusze postrojone były w pełni wstążek, a z tą ozdobą rumakom całkiem było... „do twarzy.” Natomiast kapelusze nie znalazły zastosowania przy wozach roboczych, tramwajach i powozach miejskich. Zapowiadają wszakże, iż kompanie tramwajów i przedsiębiorstwa powozów myślą zupełnie seryo o zastosowaniu kapelusza do swych sił pociagowych podczas upałów letnich. W tym nawet wypadku kapelusze takby się opatrzyły, że przestałyby razić zupełnie.

Pewnego razu w Indyach, właściciel kolonii zauważył, że słoń jego zbliżył się do zagrody bambusowej i chwyciłszy trąbą jeden ze słupków wyrwał go z ziemi. Potem z pomocą przedniej nogi złamał słupek i otrzymał w ten sposób rodzaj kija z ostrym końcem. Zdziwiony właściciel z ciekawością oczekiwał, co dalej się stanie. Otóż słoń ujął kij trąbą i zaczął się nim skrobać pod łopatką gdzieby trąbą sięgnąć nie mógł. Operacya ta miała na celu zrzućenie ogromnej pijawki, która mu prawdopodobnie ogromnie dokuczała. Zmysłne zwierzę, mrużąc z zadowolenia, zadusiło nogą chciwe krwi stworzenie.



Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał IV-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3 $\frac{1}{2}$ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jubileusz Biskupa Sandomierskiego (z rycinami) — Len, wiersz przez E. Lejową. — Jan Niewdźzyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rycina do pow. Trzydzieści lat wśród dzikich. — Pogadanki z astronomii, przez Pawła Trzczińskiego. — Wzajemna pomyłka, powieść p. Teresę Jadwigę — Ze świata. — Dodatek: Do lalki, wiersz (z ryc.) — Pogadanka naukowa przez A. Z. — Poświęcenie, komedyjka w 1-m akcie przez Z. Potworowską (c. d.) — Ciotka Iza. — Łamigłówek i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marene.

WIECZORY RODZINNE



Do lalki.

Laleczko moja malutka!
Oj! wielka z ciebie filutka,
Przymilasz mi się tak słodko,
Laleczko, moja pieśczotko!

Sukienki ci się zachciało?
A masz ich przecież nie mało.
Lecz tobie śni się już nowa,
Prześliczna adamaszkowa.

I nic to wcale dziwnego,
Laleczko, jesteś od tego,
Dla ciebie szmata jaskrawa
To bardzo ważna jest sprawa.

To całe szczęście jest twoje
Kosztowne posiadać stroje!
I od samego już rana
Myśleć, jak będziesz ubrana.

Bo w twojej główce tak pusto,
Że w niej jak groch jest z kapustą,
Tylko wróbelki latają,
Różne harce wyprawiają.

Ja się też tobie nie dziwię,
Bardzo to jednak szczęśliwie,
Że w mojej główce dziewczęcej
Może się zmieścić coś więcej.

Bo to! laleczce przystoi,
Kiedy się cały dzień stroi,
Gdy temi szmatkami się bawi,
Drogi'na ziemi czas trawi.

Ale ja tego nie zrobię,
Na lalkę się nie sposobie,
Mogę sukienkę mieć ładną,
Lecz niekoniecznie paradną.

Czy to nie szkoda pieniędzy?
Tyle na świecie jest nędzy!
Czy to mnie strojów potrzeba?
Gdy ludziom brakuje chleba!

Ja lubię moją laleczkę,
Ale ja więcej troszeczkę
W sercu i w główce mieć muszę,
Na to mi Pan Bóg dał duszę.

A. Z.

POGADANKI NAUKOWE.

V.

Całą masę komórek, składającą każde drzewo i najdrobniejszą roślinkę okrywa po wierzchu „nadskórek,” który się składa z komórek spłaszczonych. Komórki te znowu wytwarzają z siebie nową materię „naskórkiem” zwaną, która jeszcze naskórek pokrywa i zgrubia go potrochu.

Między naskórkiem i nadskórkiem, znajdują się gdzieniegdzie szparki, które nazywają „jamkami przydechowymi.” Przez te jamki i przez przestwory międzykomórkowe niby zamknięta nadskórkiem, roślina oddycha całym ciałem, jak ludzie płucami.

Ale korzeń, który jest przeznaczony do życia w ziemi, nie mieszkając na powietrzu, powietrzem nie oddycha, więc szparek takich nie zawiera.

Za to w liściach i łodygach tych przydechowych jamek jest taka masa, że w kwadraciku długim na jedną dziesiątą częśćką cala i szerokim tak samo, bywa od stu do tysiąca takich jamek.

Komórki naskórka bywają często bardzo wydłużone i tworzą kolce, jak w róży, w akacyi i t. d., lub włosy jak w rozmaitych włochatych roślinach np. w pelargonii, pokrzywie...

Czasem włos taki, czyli poprostu, taka długa komóreczka wydziela z siebie sok za naciśnięciem. Czasem sok taki dotknąwszy do ciała, mocno parzy.

- Oj wiem, już wiem, znam pokrzywkę!
- No to i rozumiesz mnie lepiej.
- Doskonale nawet.

W roślinach trwalszych, a szczególnie drzewiastych, naskórek tak bardzo twardnieje, że wytwarza korę.

Niektóre drzewa wydzielają korę zwaną „korkową,” bo jest tak gruba, że z niej wykrawają korki. W naszej Europie drzewa takie rosną w Portugalii.

POŚWIĘCENIE.

KOMEDYJKA W I AKCIE.

P. Z. Potworowska.

(Dalszy ciąg).

SCENA 2.

Ciż i Walek.

Janek (*zeskakuje ze stołu*). Walek, ty znowu u nas?

Walek. O, proszę panicza, jaki ja szczęśliwy... pan przebaczył i pozwolił wrócić do kredensu. I będę znowu mógł trochę zarobić i babce ulżyć.

Joasia. A uważaj teraz, żebyś znowu tak wszystkiego nie rozbijał.

Walek. O, panienko złota! ja teraz będę taki uważny... (*smutno*) Ach! Boże miłosierny! czemu ja mam takie ręce maślane?

Janek. Zobaczysz, że teraz już będzie dobrze.

Walek. O, żeby to, żeby... a wujek obiecali skórę wygarbować za jedną stłuczoną szklanekę...

Staś. I nie ruszaj tego, czego ci nie wolno ruszać.

Walek. Niczegoj ruchać nie będę.

Basia (*wskakuje na krzesło i dzwoni*). Proszę o głos. (*po chwili*). Niechaj Walek jedzie z nami; będzie nam pomagał.

Walek. A gdzie?

Basia. Na cały dzień do lasu.

Walek. Jak pan pozwoli, to pojedę z panienkami i paniczami na sam koniec świata.

Staś (*wchodzi na krzesło*). Proszę o głos. Jedna osoba przybywa, to trzeba powiększyć ilość zapasów.

Walek. E... proszę panicza, dla mnie nie trza, ja wezmę kawał chleba, krajanekę sera, w lesie są strugi, to i woda jest...

Janek. Nie! na majówce, co my dostaniemy, to i ty.

Joasia. Pierwsze śniadanie zjemy w domu, na drugie śniadanie: pięć filiżanek kakao w butelkach i pięć bułek.

Janek. Za mało. W lesie przy robocie mam apetyt wilczy — dziesięć bułek!

Staś. Ale to trzeba by zapisać. Joasia niech będzie naszym sekretarzem. No, siadaj i pisz. (*Joasia siada i pisze*) Dziesięć filiżanek kakao, dziesięć bułek, a dalej?

Basia. Obiad zjemy u leśniczego.

Janek. A podwieczorek?

Joasia. Owoce: jabłka, gruszki, śliwki i ciasteczka, które mamusia kazała nam upiec. (*pisze*).

Staś. A w razie głodu mamy leśniczówkę w samym środku lasu.

Walek. Jak będzie trzeba, to ja polecę i przyniosę.

Janek. No, z jedzeniem dosyć. Punctum. Zrób kreskę i pisz dalej. Parę deseczek, kilkanaście kołków i narzędzia stolarskie.

Staś. A czy nasz osiołek temu wszystkiemu poradzi?

Walek. Ojej, panienko, żeby ino się nie uparł, to i drugie tyle zabierze.

Staś. A dla osła nic nie weźmiemy?

Janek (*do Joasi*). Zrób kreskę i pisz. Jedzenie dla osła.

Walek. To już będzie moje myślenie.

Basia. A kompas?

Janek. O najważniejszym bylibyśmy zapomnieli. Dopisz, kompas.

Walek. A co to jest pompas?

Joasia (*śmieje się*). Kompas nie pompas.

Walek. A wej do czego to służy?

Staś. Widzisz, to są takie mądre dwie igiełki, z których jedna zawsze pokazuje północ, a druga południe.

Walek. A może to nieczysta siła?

Janek (*poważnie*). Niema w tem żadnych, czarów Walku, jak będziesz starszy, to ci to wytłómaczę.

Walek. Dziękuję paniczowi.

Janek. A teraz idź do pokoju tatusia i przynieś zielone pudełko, które stoi na szafie, w niem właśnie jest ów kompas. A nie otwieraj pudełka.

Walek. Lecę (*wybiega*).

SCENA 3.

Ciż (*bez Walka*).

Basia. Janku, a my jeszcze kijów nie mamy.

Janek. I broń by się przydała.

Joasia. Po laski, to my pójdziemy do ogrodu. Chodź Stasiu. (*Joasia i Staś wychodzą*).

SCENA 4.

Basia i Janek.

Basia. Żeby mamusia pozwoliła, to jaby się dzisiaj wcale spać nie kładła. Trzeba przecież i to i owo przygotować, spakować...

Janek (*poważnie*). Nie, Basiu, trzeba się położyć, by mieć siły na jutro. I tak wszystko się zrobi. (*wpada Walek zapłakany*).

SCENA 5.

Ciż i Walek.

Walek. O Jezu! Jezu! co ja zrobiłem... ja chyba się utopię... pan tera na dobre wypędzi świnie paść... i babka będą płakali, co ja taki niezdamny... ojej! (*placze*).

Janek. Cóżes zrobił.

Walek. I wujek wybija... o rety!

Basia. Ale mówże raz, coś zbroił?

Walek. A niech ta i pan wybije, niech i wujek bije, niech mnie wszyscy biją... dobrze mi będzie, ale tylko

panienko złocista (*całuje Basię w rękę*) nie gadajcie babce i przebaczcie i nie wypędzajcie.

Janek. Kto z nim dojdzie do ładu? I cóżeś zrobił?

Walek. A to... ten pompas... ja chciałem do środka zaglądnąć i tam się cosik złamało we wnętrzu...

Basia i Janek (*razem*). Boże!

Basia. Kompas zepsuł! Co tatuś powie?

Janek. I jam trochę zawinił, po co kazałem przynosić?

Basia. A pocios pudełko otwierał?

(*d. c. n.*)

Ciotka Iza.

(*Dalszy ciąg*).

Oto ładny złoty zegarek z łańcuszkiem, także broszka, sznurek drobniotkich perełek i na ostatku w maleńkiem safianowem pudełeczku, śliczny brylantowy pierścionek. Ciotka zatrzymała go najdłużej w swych poźółkłych palcach, podniosła do bladego światła lampy, a kamień zamigotał tysiącami przepysznych barw. Zwiesiła głowę bardzo nisko na piersi, ręka opadła ciężko na stół, a pierścionek potoczył się daleko po nim. Myśl pobiegła w przeszłość.

Nagle wpadła rozweselona Nina, a zobaczywszy coś błyszczącego na stole, zwyczajem ciekawych dzieci, pobiegła doń coperdziej.

— Ach, co za śliczności—zawołała, składając ręce—jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takich pięknych rzeczy! I to wszystko cioci, nie wiedziałam, że ciocia ma takie kosztowności. Zegarek, broszka, pierścionek, ach, jak mi się to podoba! Ciociu, czy mi to ciocia kiedy podaruje? ja bardzo to lubię, proszę, bardzo proszę.

I brała kolejno jedno po drugim, przymierzała, pierścionek wsunęła na palec.

— Ach, patrz, proszę, zupełnie dobry, jakby na mnie robiony; o! jakby to ładnie było żebym mogła grać w takim pierścionku na naszym fortepianie, gdy będziemy go miały! I poskoczyła do ciotki, obejmując ją za szyję. Ciotko, daj mi teraz pierścionek — szepnęła.

— Nie, drogie dziecko, nie dam, gdyż dzieci takich kosztowności nie noszą, gdy będziesz starszą, to co innego.

— Nie noszą, a dla czego Marychna Zalińska nosi pierścionki, dziś właśnie widziałam, że ich miała aż dwa.

— Marychna jest o kilka lat starszą od ciebie, zresztą ona jest córką rodziców zamożnych!

— A ja?

— My obie, Nino, jesteśmy biedne i w przyszłości czeka cię drogie dziecko praca, trzeba więc kochanko, zawczasu przygotować się na to, że wiele rzeczy będzie dla ciebie niedostępnych.

Nina spojrzała na ciotkę uważnie, a ta ciągnęła dalej:

— Zresztą, Ninko, o takie rzeczy jak świecidełka, niema się co ubiegać, wierz mi, dziecię, to nie uszczęśliwia, staraj się tylko pozyskiwać coraz więcej przymiotów duszy, a z pewnością szczęśliwszą będziesz od najbogatszej.

Nina słuchała uwag ciotki, trzymając wciąż jednak pierścionek na palcu.

— A czy można ciociu być szczęśliwą, dobrą i bogatą?

— Naturalnie, że można.

— No, to ja wolę być jeszcze przytem i bogatą.

Ciotka uśmiechnęła się.

— Czy dlatego — spytała — aby mieć pierścionki?

Nina na razie zmięszała się trochę.

Tak ciotko, i dla tego jeszcze abym mogła dużo, dużo dobrego robić. A wie ciocia, co jabym zrobiła? Zaraz kupiłabym cioci dom, taki duży, piękny, nie mieszkałybyśmy już w takiej chacie jak nasza, potem, biednym i naszym wiejskim dzieciom dałabym dużo, dużo wszystkiego, a sobie kupiłabym zaraz fortepian, ładną sukienkę, bo patrz ciociu, ta już połatana, wytarta i krótka i jeszcze nowy kapelusz, taki sam, jaki Marychnie dziś ojciec przywiózł z miasta. Mój taki brzydki, brudny!

Ciotka Iza spojrzała smutnie na Ninę.

— Martwi mnie to, Ninko — rzekła — że coraz częściej pragniesz bogactwa i strojów, i że mimo, iż staram się przedstawić ci, iż w położeniu naszym jako nie bogatych, możemy również dużo dobrego robić, jeśli chcemy, ty zawsze wracasz do bogactwa, które ci się tak ponętnie przedstawia. Czy sądzisz, że jako niezamożna, nie mogłabyś nic dobrego robić! wszak jest tysiące od nas biedniejszych, sama nieraz oddałaś swój podwieczorek głodnej Małgosi, co w piątki chodzi i żebrze. Czy ci to nie sprawiło przyjemności, że głodne dziecko nakarmiłaś.

— Tak, ciociu!

— Więc widzisz, drogie dziecię, że niekoniecznie trzeba mieszkać w pięknym, dużym domu i mieć dużo pieniędzy, aby módz biedny dopomagać i w naszej biednej chacie, jak mówisz, dużo dobrego robić można.

Nina ucałowała ciotkę serdecznie.

— Ty zawsze masz rację, cioteczko, a więc masz, schowaj ten pierścionek; gdy dorosnę i będę godną takiego podarunku, dasz mi go, prawda?

(*d. c. n.*)

S Z A R A D A .

E. L.

Pierwsze jest to przyimek a ujrzenie sami,
Że dwoma w naszej mowie rządzi przypadkami.
Drugie rzeka, co wód swych kieruje bieg rączy,
 Przez trzy kraje, i w morzu Północnem byt kończy.
Trzecie zaś, to zaimek co wedle zwyczaju,
 Wskazuje każdy przedmiot żeńskiego rodzaju.
Wszystko — niewielka rzeka bystra w swoim biegu,]
 Mieszcząca wielu Słowian na swym stromym brzegu.

ZAGADKA.

Strzelec dla Stasia R.

Dwa końce ostro ścięte,
Drugie dwa w pierścieniu zgięte,
Przez środek gwoździem przejęte.

LAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

p. Laszkę dla Zosi i Jadzi Wit.

P.l. g d z ż n . w w p l . n b f . t .
S t . j . m ś w c . j . k d . j r z k . . . m ,
. l . k . w . n n . m k w c m p . k r . t . ,
W . d . s z . m c e j . s n . m p . t . k m ,
S l . ũ c . c z ł . t . m g . j p . w l . k ,
P . ł n . u r . k . j . k p r z . j . ż ũ c z ł . k .
T . m z . s z . d ł b ł . g ż . c p . c z . t . k
T . m j . s t m . j l . b . r . d z . n n y k . t . k .

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Czarny Porucznik.

1	W kwadracie z 8-iu przedział-
. 2	ków, ułożyć wyrazy, aby lite-
. 3	ry oznaczone liczbami złożyły
. 4	nazwę miasta w Sudanie.
. 5	Znaczenie wyrazów: 1) Słyn-
. 6	ny wódz tatarski. 2) Poezja
. 7	malująca życie prostacze. 3)
. 8	Niewolnicy mahomet. w Egip-

ceni. 4) Dyktator francuski z r. 1871. 5) Angielska wyspa na Oceanie Wielkim. 6) Figura geometryczna. 7) przyrząd do mierzenia gazu i pary. 8) Szczyt w Alpach. Sylaby: Ta—sie—ma—gam—wan—wie—ma—jung—mer—ka—lan—lan—lo—bet—ku—frau—me—cy—ta—no—lu—kąt—metr—wer.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Szurady: Potop.

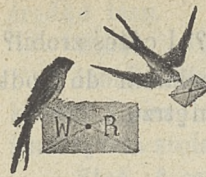
Arytmogryfu:

- 1) Powój. 2) Orzeszkowa. 3) Jatagan. 4) Damaszek. 5) Żdźbło.
- 6) Muzeum. 7) Yu. 8) Zaraz. 9) Ardeny. 10) Narkotyk. 11) Izera. 12) Magellan. 13) Iset.

Pójdźmy za Nim i Janko Muzykant.

Lamigłówniki w kratkach.

M a k a r t
R o b o a m
K o r n e t
K a n a d a
L i b a w a
P o k o r a



Skrzynka do listów.

P. Jastrzębskiej w Rydze. Za przysłane trzy ruble do uznania Redakcyi dziękujemy. Oddaliśmy je bardzo biednej rodzinie, obciążonej dziećmi.

Helenca M. dziękujemy za ładnie i poprawnie napisany liścik, a za przesłane nam życzenia, odpłacamy również życzeniem, aby nasza mała korespondentka rosła zdrowo na pociechę rodziców, uczyła się pilnie, postępowaniem swoim zjednywała sobie serca ludzkie, i do Redakcyi naszej pisywała zawsze tak serdeczne odezwy, jak ta, którąśmy w tych dniach odebrali. Powrót Jaskółki spodziewany wkrótce. Wierszyk, który ci się tak podoba, przesłać nam możesz w liście; zamieścimy go w Wieczorach, jeśli dotąd nie był drukowany.

Chętnie ciebie, **Czarna Perełko** i twego braciszka zaliczymy w poczet naszych korespondentów; zawiązanie z nami przyjaźni nie trudne, a ciebie Tadzia i Janka już po części z listu twego poznaliśmy, jako kochające się rodzeństwo, obchodzące się z każdym grzecznie i uprzejmie, nawet z czarnym psem Żukiem, nieodstępnym waszym towarzyszem na wakacjach. Chociaż żal tych kończących się wakacyi, kochana Perełko, i kończącego się lata, powiedzieć przecież sobie musimy.

Wiosna śliczne kwiatki rodzi,
A jesień z plonem przychodzi.

Na konkurs robót, można przysłać roboty z każdego lub z jednego działu. Listu braciszka oczekujemy.

Szczęśliwie to, kochana **Wichuro**, że pocziwe serduszko dobre myśli nasuwa ci do głowy i że je w czyn zaraz zamieniasz. Dowodem tego, że zatęskniłaś za listowną z naszą Redakcją gawędką i chwyciłaś za pióro, dla nas zawsze pożądane są dowody takiej życzliwości naszych młodych czytelników. Przyjemnie nam również, że Wieczory czytujesz z zajęciem, świadczy to, że praca nasza nie idzie na marne i że przyczynia się do wykształcenia i rozrywki czytelników naszego pisma, czego pragniemy gorąco.

Lubisz **Jagódka** pracę ręczną i obiecujesz wziąć udział w konkursie robót; pochwalamy upodobanie twoje, bo igła, to najwłaściwsze w rękę kobiety narzędzie. Obecnie trudno nawet wyobrazić sobie jak dawniej mogli bez niej obywać się, bo chociaż już w dalekiej starożytności Babilończycy używali szytej odzieży, początkowo igły wyrabiano z ości rybich i kalców drewnianych. Pierwszą fabrykę igieł stalowych założono w Anglii 1560 r., a pierwszą maszynę do szycia wynaleziono r. 1844. Jakież ogromny postęp od tej maleńkiej igielki do owej maszyny, zastępującej pracę rąk ludzkich, a w tym kierunku ile udoskonaleń jeszcze przyszłość przynieść może.

Zapewne **Marynia Ł.** posiada rocznik Wieczorów z r. zeszłego, znajdzie tam w Nr. 33 wskazówki jak przenieść na drzewo i płótno lub atlas wiązanek z zasuszonych liści jak: paproci dębu i t. d.

Zadania i szarady swego układu nadesłali: **Wichura, Czarna Perełka, Smok i Sep.**

Dobrze rozwiązyli zadania: **Helenka M., Madzia W., Staś i Henryś Z.**

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał IV-ty dla uniknięcia zwłoki w przesyłce pisma.